

Życie Warszawy

WARSZAWA

DZ. Nr 237 10-10-2001

MUZYKA. Prapremiera w Warszawskiej Operze Kameralnej

Pląs króla Balthazara

Nie wiem, czy pokazany w Warszawskiej Operze Kameralnej „Balthazar” Zygmunta Krauzego zagości na deskach teatrów na stałe. Warto by tak się stało, bo utwór przypomina, że przez operę można mówić o sprawach naprawdę ważnych. Dzisiaj nie mniej niż w czasach Wyspiańskiego albo... Balthazara i Daniela.

MACIEJ WERYŃSKI

Zamówiony przez Operę Kameralną utwór Zygmunta Krauzego otworzył I Festiwal Oper Współczesnych, na który złoży się jeszcze jedna prapremiera („Antygona” Zbigniewa Rudzińskiego, 17 października) i przypomnienie zamówionego na jubileusz sceny pięć lat temu „Quo vadis” Bernadetty Matuszczak. Wszystkie trzy opery sięgają do opowieści antycznych, a jednak mają w sobie ładunek znaczeń współczesnych.

Nowe czytanie Wyspiańskiego

Libretto „Balthazara” napisał reżyserujący spektakl Ryszard Peryt na podstawie dramatu Stanisława Wyspiańskiego „Daniel”. Oprócz pozbawienia tekstu odniesień czysto lokalnych, punkt ciężkości przeniesiono z Daniela, proroka, syna podbitego narodu, na Balthazara, dumnego zwycięzcę. To jego rozterka w obliczu niezrozumiałego boskiego świata, jego upadek i ruinę jego „kosmosu” uczyniono centralną osią opery. Efekt okazał się przynajmniej bardzo ciekawy, jeżeli nie wręcz zajmujący.

Jest bowiem ten Balthazar znacznie ciekawszy niż jego pierwowzór (o tyle samo, co Salome Richarda Straussa od swojego biblijnego modelu, a Król Roger Karola Szymanowskiego od autentycznego władcy Sycylii). To nie jest tylko i po prostu okrutnik i wróg Narodu Wybranego, który naturalnie musi ponieść klęskę. Obserwujemy u niego wstrząs, z którego rodzi się świadomość: z Bogiem nie wygra nikt. Czy chodzi tu o Jahwe, czy (jak w „Królu Rogerze”) o jakiegoś Dionizosa-Erosa-Chrystusa, to nieważne. I tu, i tam najważniejszy wydaje się upadek ziemskiego kolosa, który zdaje sobie wreszcie sprawę, że „jego władza sięga tam, gdzie jego królewski miecz” (Roger) i że to inny, boski świat jest jednak silny (Balthazarowi w I akcie echo odpowiada tym słowem, gdy upojony zwycięstwem bohater wykrzykuje „Bóg bezsilny!”).

Z Wyspiańskiego pozostał jeszcze dyskurs o poezji i dziedzictwie. I moment, gdy trzej poeci (tu świetnie zgrani Zdzisław Kordyjałik, Zbigniew Dębko i Sławomir Jurczak) śpiewają o konieczności dochowania wierności na emigracji, wydał mi się jednym z najbardziej wzruszających i ważnych, podobnie jak postać Starego Więźnia (Jerzy Mahler).

Bez szoku

Zgodnie z tym, co zapowiadał kompozytor, w muzyce do „Balthazara” eksperymentów właściwie nie ma. Jest język współczesnego twórcy, z którym nie powinni mieć problemu odbiorcy średnio przyzwyczajeni. Nie powinni, choć można było usłyszeć opinie, że jest on dość trudny. Ta „trudność” wynika jednak z dramatyzmu akcji i problemu, o którym ta muzyka traktuje, nie z hermetyczności czy odkrywczości (prawdę mówiąc, wyobrażam sobie, że niektórzy z tej przystępności mogą nawet czynić zarzut). Są tu ostre akordy, ale też znajdują się i słodkie niemal melodie (początek chóralnego hymnu), jest prostota (recytatywy Balthazara, część finału oparta na powtarzalności motywu) i bardzo skomplikowane harmonicznym partiami, wymagające nagłych zmian tonacji.

Uważny słuchacz może dostrzec spojrzenia kompozytora w tradycję Straussa i Szymanowskiego, nie wynikające wszak z orientalnej tematyki, bo u Krauzego stylizacja taka w ogóle nie występuje... Kompozytor po prostu korzysta z tego, co było przed nim naturalnie, myślę, że nawet niecelowo.

Napisane na scenie

Kompozycja sprawdza się na scenie Warszawskiej Opery Kameralnej. Po rozbudowaniu orkiestry powinna brzmieć równie dobrze na scenach znacznie większych. A jednak to tutaj znalazła wykonawców bliskich ideału.



Jako Balthazar wystąpił Andrzej Klimczak

Inscenizacja Ryszarda Peryta opiera się na prostych symbolach: światła, opozycji czerni i bieli (Balthazar, Daniel), czerni i złota (Balthazar przed i po przemianie) i lekkiej stylizacji „babilońskiej” i „żydowskiej” w geście i ruchu. Mogą się bardzo podobać prosta i funkcjonalna scenografia i piękne kostiumy Andrzeja Sadowskiego. Niepotrzebnie nachalny wydał mi się tylko świetlisty napis „Mane, Tekel, Fares” (niewidoczny zresztą dla publiczności na balkonie).

Siłą tego przedstawienia są wykonawcy. Rola tytułowa jest po prostu napisana dla Andrzeja Klimczaka. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem go tak skupionego! Śpiewa pewnie, równo, potrafi wydobyć

z postaci prawdziwy dramat, nie uciekając się do scenicznych „sztuczek”. Kilka razy ociera się o granice szarży (jak podczas triumfalnego, pełnego nonszalancji „pląsu”), a jednak je respektuje. Świetna rola!

W dwóch wokalnie bardzo wymagających rolach pokazują się Marta Boberska (Echo-Ona-Śmierć) — bardzo dobra wokalnie i scenicznie — i Leszek Świdziński (Daniel) — nierówny w tej chyba jednak zbyt wysokiej dla niego partii.

Najbardziej wstrząsająca wydała mi się inna postać. Jerzy Mahler jako Stary Więzień jest uosobieniem gorczy utraty honoru, nie stając się szablonowym „zdrajcą sprawy”, jakich pełno w patriotycznej literaturze.